Poza Scenariuszem

Seria Pogmatwane Serca

Unscripted

Aylin Red

Rozdział 1

Trzy minuty zapasu.

Według prywatnej definicji Lucy Crowe — czyli prawie spóźniona.

Szklane drzwi Seraph Entertainment rozwarły się z cichym westchnieniem klimatyzacji i Lucy weszła, nie zwalniając. Poranne słońce złapało jej włosy na ułamek sekundy — jasne końcówki rozjarzyły się, zanim budynek je połknął. Obcasy uderzyły w marmur i wystukiwały własny rytm, oddzielny od całego biurowego zgiełku: konkretny, równy, bez przeprosin. Grafitowy garnitur opinał ją w dokładnie właściwych miejscach. Żadnego luzu, który mógłby sugerować cokolwiek innego.

Na tablecie miała już materiały. Asystentka wiedziała, jak działa Lucy.

Ariel Devereux.

Podczas jazdy Uberem przewijała jego filmografię — każda okładka magazynu, każdy viralowy wywiad, każda plotka krążąca po kręgach talentów w LA. Midnight in Manhattan zrobiło z niego złote dziecko Hollywood. The Last First Date przypieczętowało status najbardziej kasowego amanta w branży. Facet sprzedawał bilety — z tym nie dało się dyskutować.

Cała reszta?

Czterech agentów w dwa lata. Każde rozstanie owinięte w „profesjonalne" formułki, które ledwo maskowały prawdę: był trudny, wymagający i — według szeptanej poczty — wyjątkowo niechętny kobietom w roli swojego przedstawiciela.

Lucy poczuła, jak szczęka jej się zaciska. Zwolniła nacisk, zanim zdążył stać się czymś widocznym.

Miała do czynienia z gorszymi przypadkami.

Dużo gorszymi.

Winda otworzyła się na siódmym piętrze. Skrzydło konferencyjne Seraph — marmur z cienkimi złotymi żyłkami pod stopami, na ścianach abstrakcje, które szeptały o pieniądzach, zamiast nimi krzyczeć. Lucy przeszła przez nie bez zwalniania.

Ben Smith czekał pod salą konferencyjną numer trzy.

Znała ten rodzaj postawy — garnitur wiszący za luźno na ramionach, barki ściągnięte do środka, wzrok przyklejony do zamkniętych drzwi.

– Cześć – wydusił, gdy się zbliżyła.

Słowo zabrzmiało jak papier zmoczony w wodzie.

Lucy wyciągnęła dłoń. – Ben.

Uścisnął ją słabo i znowu zerknął na drzwi. – Ariel może nie być zachwycony.

Uniosła brew. Nie powiedziała nic — wystarczająca zachęta.

– Poprosił o najlepszego agenta. – Ben przejechał dłonią po coraz rzadszych włosach. – Mężczyznę. Wprost zaznaczył to w umowie. Dwa razy.

Oczywiście, że tak.

Lucy niemal widziała Angelicę Reynolds, jak czyta ten zapis — przeszywająco niebieskie oczy zwężające się za biurkiem, gdy sens żądania do niej dociera. Angelica nie tolerowała seksizmu przemycanego pod przykrywką „profesjonalnych preferencji". Nigdy. Zbudowała Seraph z niczego, w branży, która chętnie przeżuwała ambitne kobiety i wypluwała je, gdy tylko próbowały wspiąć się wyżej.

Udowodnię ci, że się mylisz — to był firmowy motyw Angeliki. Ktoś podważał jej decyzję? Podkręcała stawkę. Ktoś odrzucał jej ludzi ze względu na płeć? Wysyłała mu najlepszą osobę, jaką miała.

Którą — ku nieszczęściu uprzedzeń Ariela Devereuxa — była Lucy.

– Uściślił, dlaczego koniecznie mężczyzna? – zapytała, głos równy jak biurko przed spotkaniem.

Ben przeniósł ciężar z nogi na nogę.

– Twierdzi, że lepiej dogaduje się z facetami. Że kobiety w tym biznesie są zbyt emocjonalne, za bardzo zafiksowane na

romantycznym wizerunku, za mało na strategii kariery. – Skrzywił się. – Jego słowa, nie moje.

– Aha. Jeden z tych.

– Słuchaj, nie bronię go. – Ben ściszył głos, mimo że korytarz był pusty. – Ale będzie stawiał opór. Mocno. Myśli, że urok osobisty może zastąpić zwykłą przyzwoitość. A kiedy czar nie działa, robi się kąśliwy.

Tablet zawibrował. Wiadomość od Victorii, szefowej PR:

Gotowa reanimować kolejnego upadłego anioła? Ten ma skrzydła ze szczerego złota i charakter z czystego kwasu.

Lucy powstrzymała uśmiech. Victoria zawsze miała dar do słów.

– Doceniam ostrzeżenie. – Głos zmienił się nieznacznie — ta stalowa nuta owiniętą w aksamit, której nauczyła się przez lata domykania negocjacji ze studiami próbującymi zaniżać honoraria jej klientów. – Ale Angelica nie bez powodu przypisała mi ten kontrakt. Jeśli pan Devereux ma zastrzeżenia do moich kwalifikacji, możemy je omówić bezpośrednio.

– Twój pogrzeb. – Ben wysilił się na blady uśmiech. – Tak między nami: prawdopodobnie jesteś jedyną osobą w Seraph, która może go ogarnąć.

Drzwi sali otworzyły się nagle. Wyjrzała młoda asystentka — spięta, z tym konkretnym wyrazem twarzy, który Lucy znała

dobrze: człowiek, który właśnie zdał sobie sprawę, czego się podjął.

– Pani Crowe? Pan Devereux jest gotowy.

Lucy poprawiła marynarkę. Portfolio pod pachę.

Znała muzyków, którzy dostawali szału z powodu złej marki wody mineralnej. Aktorki żądające prawa veta do każdego słowa w scenariuszu. Komika, który nadał na żywo własną interwencję policji, a potem pytał agenta, czy to dobrze zrobiło jego wizerunkowi.

Jak trudny mógł być jeden aktor od komedii romantycznych?

Ben zapukał dwa razy i popchnął ciężkie dębowe drzwi.

Sala konferencyjna rozciągała się przed nimi — okna od podłogi do sufitu, panorama Los Angeles zalana porannym słońcem, meble kosztujące więcej niż większość samochodów na tym parkingu. Seraph nie robiło nic na pół gwizdka.

Przy oknach, na kremowej skórzanej sofie, siedział Ariel Devereux.

Jedna ręka swobodnie oparta o oparcie, nogi lekko rozstawione, telefon uniesiony pod kątem, który Lucy rozpoznała natychmiast. Scrollowanie. Na spotkanie z nowym agentem — po prostu scrollował.

Podniósł wzrok.

Niebiesko-zielone oczy — dokładnie takie jak na zdjęciach, choć fotografie nie oddawały temperatury tego spojrzenia. Wsunął telefon do kieszeni jednym leniwym ruchem i rzucił w stronę Lucy gest, który technicznie był wskazaniem, a w praktyce bliższy był machaniu ręką na kogoś w polu widzenia.

– Ben. – Akcent uderzył od razu — ostre, brytyjskie samogłoski wtłoczone w swobodną amerykańską frazę. – To jest ten najlepszy agent z Seraph?

Wstał.

Jeden płynny ruch i nagle sala konferencyjna była odrobinę mniejsza. Co najmniej metr dziewięćdziesiąt, ramiona wypełniające idealnie skrojony granatowy garnitur tak, jakby uszyto go na miarę jego barków, a nie ciała. Ciemny blond łapał światło — ułożony w ten starannie niedbały sposób, który zawsze zdradza godziny pracy stylisty. Szczęka prosta, kąciki ust lekko uniesione, jakby wszystko, co widzi, bawi go odrobinę bardziej, niż pokazuje.

Skrócił dzielącą ich odległość. Wyciągnął dłoń.

– Lucy Crowe.

Uścisk mocny, czysto formalny. Ani grama ciepła. Puścił jej dłoń i odwrócił się do Bena — ledwo subtelny ruch, ta niewerbalna wymiana między mężczyznami, przeprowadzona w założeniu, że kobieta albo nie zauważy, albo nie skomentuje.

Lucy zauważyła.

Zawsze zauważała.

– Zgadza się. – Głos spokojny, zawodowy. – Jestem najlepszym agentem w Seraph. Sama szefowa mnie wybrała.

Mięsień przy skroni Ariela skoczył. Drobny, szybki — ale tam był. Pierwsza rysa na idealnej fasadzie.

– Tylko widzi pani… – zmarszczył brwi, a w głosie pojawiła się irytacja ledwo okryta brytyjską uprzejmością. – Prosiłem o mężczyznę. – Jego spojrzenie prześlizgnęło się po niej raz jeszcze, bez nawet pozoru dyskrecji. – A pani na pewno nim nie jest.

Słowa zawisły w powietrzu.

Ben przy drzwiach niespokojnie się poruszył. W myślach pewnie szacował odległość do wyjścia awaryjnego.

Lucy utrzymała spojrzenie Ariela. Nie mrugnęła pierwsza. Znała ten typ — mężczyzn, którzy mylą „preferencje" z uprzedzeniami i ubierają seksizm w firmowy żargon, oczekując, że wszyscy przytakną dla świętego spokoju.

– Moja płeć nie ma znaczenia. – Każde słowo osobno, jak podpis pod każdą klauzulą umowy. – Liczą się umiejętności.

– Zobaczymy. – Skrzyżował ramiona, materiał napiął się na barkach. – Prosiłem o najlepszego.

– Dobrzy agenci wiedzą, jak przechodzić przez ogień. – Zrobiła pauzę. – Albo przez czyjeś ego.

Jego uśmiech — ten z plakatów filmowych, wyćwiczony do milimetra — pojawił się i nie sięgnął oczu nawet o centymetr.

– W porządku. Sprawdźmy to. Zakładam, że Seraph wie, co robi.

Lucy przełknęła ripostę. Kontrakt, który pięknie będzie wyglądał w jej portfolio, niezależnie od tego, co sądziła o człowieku do niego przyczepionym.

– Oczywiście. – Lekkie skinięcie głową.

Ariel przesunął się w stronę stołu konferencyjnego, muskając palcami wypolerowaną powierzchnię.

– Trzy miesiące. – Odwrócił się, ustawiony tak, żeby okno było za nim. Ktoś, kto doskonale zna swoje kąty. – Jeśli po trzech miesiącach współpraca nie będzie działać, wypada pani z gry.

Czekał.

Lucy widziała to w tym drobnym bezruchu — noga lekko wysunięta, ramiona swobodne, cała poza kogoś, kto spodziewa się odpowiedzi i już ją zna.

– Jasne.

Jedno słowo, bez ozdobników.

Coś przesunęło mu się w twarzy — krótkie, natychmiast schowane. Kącik ust, może. Albo linia szczęki, która przez sekundę straciła pewność siebie.

– Świetnie. – Rzucił krótko. – Zakładam, że przejrzała pani moje kontrakty.

– Każdy. – Podeszła do stołu, odłożyła portfolio z namysłem, otworzyła na właściwej stronie. – Włącznie z umową z Montblanc, która traci pieniądze przez fatalne pozycjonowanie marki, oraz opcją franczyzy, która wiąże pana z sequelem, którego — o ile dobrze czytam między wierszami — zrobić pan nie zamierza.

Oczy Ariela zwęziły się. – Ben o tym wspominał.

– Ben wspominał o tym trzy miesiące temu. – Przesunęła w jego stronę zestawienie. – Mam już przygotowaną propozycję wypowiedzenia dla Montblanc, zabezpieczającą przed karami umownymi, oraz wstępnie wynegocjowane warunki z wytwórnią w sprawie sequela.

– Bez konsultacji ze mną? – Lód w głosie pojawił się szybko.

– Wstępne warunki. – powtórzyła spokojnie. – Nic nie zostało podpisane. Ale jeśli woli pan spędzić następne trzy miesiące odrabiając lekcje od zera, zamiast budować na gotowych fundamentach — możemy tak też zrobić.

Cisza między nimi rozciągnęła się jak naciągnięta lina.

Ben za jej plecami chrząknął.

– No dobrze. To… chyba was zostawię.

Zamek w drzwiach kliknął.

Ariel przyglądał jej się przez stół — bez tej wyćwiczonej otoczki uroku. Pod nią kryło się coś ostrzejszego, coś, co Lucy odnotowała i schowała na później.

– Jest pani pewna siebie.

– Jestem po prostu dobra.

Kącik jego ust drgnął. Ledwo — ale drgnął.

– Trzy miesiące, pani Crowe.

– Trzy miesiące, panie Devereux.

Obcasy uderzyły w marmur lobby — tym razem nieco za mocno, rytm szybszy niż przy wejściu. Parkingowy oddał Lucy kluczyki z wyćwiczonym uśmiechem, którego nie zarejestrowała.

Wsiadła do BMW, zamknęła drzwi. Skóra fotela przyjęła ją chłodem.

Trzasnęła nimi trochę za mocno.

– „Trzy miesiące, pani Crowe." – zacytowała pod nosem, modulując głos na jego irytująco spokojną, brytyjską manierę. Palce zacisnęły się na kierownicy — poczuła własne kostki pod skórą. Rozluźniła uchwyt. Zacisnęła jeszcze raz.

– Co za idiota.

Silnik zamruczał miękko. Wcisnęła przycisk radia — coś głośnego, zadziornego zalało wnętrze i Lucy wyjechała z parkingu prosto w południe Los Angeles.

Wilshire Boulevard toczył się swoim zwykłym, leniwym tempem. Palmy kołysały się w bryzie z tą irytującą obojętnością, którą mają drzewa — nic ich nie obchodzi ani nastrój, ani plany, ani faceci, którzy patrzą na kogoś jak na przetarg do odrzucenia.

Muzyka dudniła w głośnikach i Lucy pozwoliła jej dudnić.

Tylko poczekaj, ty brytyjski dupku.



– Lu!

Victoria pojawiła się jeszcze w holu — ciemne oczy rozbłysły rozbawieniem.

– Przeżyłaś!

Twarz Lucy wykrzywiła się w coś między grymasem a warknięciem. Rzuciła portfolio na najbliższe biurko.

– Chryste. – Krótko. – Królewska Wysokość.

Victoria parsknęła śmiechem, który usiłowała tłumić dłonią przyłożoną do ust — i tak wstrząsnął jej ramionami.

– Aż tak źle? – Brwi uniosły się w tym konkretnym tańcu, który Lucy znała już na pamięć. Potem na twarzy Victorii pojawił się wyraz bezwstydnie rozbawionego uznania. – No ale przynajmniej jest na czym zawiesić oko. Dziewczyno. Hu hu.

Spojrzenie Lucy mogło topić szkło.

– Może i przystojny, ale dalej jest dupkiem.

– Taaak, jasne. – przeciągnęła Victoria.

W tym jednym słowie aż kapało od sceptycyzmu. Mina mówiła wszystko — Victoria już ułożyła sobie całą historię w głowie, z dokładnie tym początkiem, środkiem i końcem, który Lucy zamierzała jej zgotować, a potem kategorycznie zaprzeczyć.

Lucy zgarnęła swoje rzeczy i ruszyła w stronę gabinetu Angeliki.

Szklane ściany. Szefowa przy biurku, pochylona nad tabletem z tą skupioną intensywnością, o której w branży krążyły legendy. Lucy zapukała raz.

Weszła.

– Dlaczego mnie tam wysłałaś? – słowa wypadły bez filtru, zanim zdążyła zdecydować, czy chce być profesjonalna, czy szczera. – On jest mną bardzo niezachwycony i nawet nie zaczęliśmy współpracy. Jeszcze nic nie zrobiłam, a już planuje moją ewakuację.

Angelica odłożyła tablet. Skrzyżowała ramiona.

– Właśnie dlatego.

Lucy zamrugała.

– Ten mężczyzna musi się nauczyć, że takie zachowania są niedopuszczalne. – Głos Angeliki niósł w sobie ciężar lat okiełznywania ego, przy których Ariel Devereux za tydzień byłby za małe. – Nie będzie sobie wybierał reprezentacji według przestarzałych uprzedzeń. Nie w Seraph.

Klocki wskoczyły na miejsce z bolesną, krystaliczną jasnością.

– Wybrałaś mnie, żeby go wkurzyć?

– Tak.

Uśmiech Angeliki rozkwitł — dumny, bezwstydny, absolutnie pewny słuszności własnej strategii. Ten uśmiech założył firmę, podpisał kontrakty warte osiem cyfr i nigdy nie przepraszał za żadną z tych decyzji.

Lucy poczuła w żołądku dziwną mieszankę podziwu i rozpaczy.

Oczywiście.

Nie prestiżowe zlecenie. Lekcja w pakiecie z kontraktem.

– Udowodnij mu, że jesteś lepsza niż jakikolwiek męski agent, którego miał. – Angelica oparła się w fotelu. – Trzy miesiące wystarczą.

Westchnienie wyrwało się z Lucy głębiej, niż planowała.

– Super. – Sarkazm brzmiał dojrzale, jak wino z dobrym rocznikiem.

– No, już, ruszaj, chérie. – Angelica machnęła dłonią — generał odprawiający rycerza na bitwę, bez wątpliwości co do wyniku.

Lucy wzięła tablet.

W głowie zaczęły się układać listy — przegląd kontraktów, reorganizacja harmonogramu, szczegółowy plan zarządzania człowiekiem, który bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że zarządzany być nie chce. Przynajmniej nie przez nią.

Drzwi windy zamknęły się i za szkłem rozciągnęło się Los Angeles — miasto ambicji, iluzji i ludzi przekonanych, że są niezastąpieni.

Lucy wyciągnęła telefon.

Zaczęła pisać pierwszą notatkę.

Wyzwanie przyjęte, Królewski Dupku.

Rozdział 2

Klucz przekręcił się w zamku.

Dom.

Wreszcie.

Mieszkanie przyjęło ją tak, jak tylko dobre mieszkanie potrafi — ciszą, temperaturą i zapachem, który był wyłącznie jej. Okna od podłogi do sufitu łapały wieczorne światło nad miastem. Meble dobrane pod wygodę, nie pod zdjęcie. Na kuchennym blacie marmur, który sama wybierała, kiedy kupowała to miejsce rok temu z czekiem, na który pracowała przez lata.

Zanim zdążyła zdjąć buty, czarno-biały pocisk uderzył w jej nogi — Księżniczka, jej bostoński terier, wijąca się całym ciałem, ogonek migoczący jak wentylator na najwyższych obrotach, pazurki stukające po parkiecie w podekscytowanym, urwanym rytmie.

Lucy opadła na kolana, twarz wyłapana przez ciepły, szorstki języczek.

– Tęskniłaś? Tęskniłaś, co? No pewnie, że tęskniłaś, mój skarbie! – Głos automatycznie zmienił się w coś, czego nie pokazywała nikomu poza czterema ścianami: wysoki, śpiewny, całkowicie bez godności. – Jesteś najgrzeczniejszą dziewczynką na całym świecie, wiesz?

Księżniczka potwierdziła to, wchodząc jej na kolano i próbując oblizać ucho.

– Ty jesteś prawdziwą księżniczką – mruknęła Lucy w czarno-białe futro, musnęła nosek pocałunkiem. – W przeciwieństwie do pewnych królewskich dupków.

Jedno krótkie, bardzo zdecydowane szczeknięcie.

– Chcesz jeść? Chcesz pyszną kolacyjkę?

Odpowiedzią był kolejny obrót ogonem i drapanie jej uda przednimi łapkami.

Lucy wstała, sięgnęła po papierową torbę z Nobu zostawioną na stoliku. Ramen — ten z kategorii, której normalnie nie uzasadnia się głośno, żeby przypadkiem nie uświadomić sobie, ile kosztuje jedna miska klusków. Miała to gdzieś. Po takim dniu zasługiwała.

Włączyła telewizor — tło, nie treść. Na ekranie jakiś reality show, uczestnicy rywalizowali o coś, w co Lucy nawet nie próbowała się wciągnąć.

Usiadła na stołku przy ladzie z miską ramenu, poprawiła pałeczki i nadcięła jajko. Żółtko rozlało się po bulionie powoli, jak powinno. Zamknęła oczy przy pierwszym kęsie — gorące, gęste, z tą warstwą umami, która siedzi z tyłu podniebienia.

Pięć sekund ciszy.

– A teraz nasz specjalny gość…

Oczy otworzyły się same.

Z ekranu dobiegł akcent — ostre, brytyjskie samogłoski wtłoczone w swobodną frazę — i żołądek Lucy zrobił coś nieprzyjemnego, całkowicie bez jej zgody.

Na kanapie w studiu siedział mężczyzna w bieli zębów i wyćwiczonego uroku. Śmiał się z czegoś, co powiedział prowadzący — za głośno, za szeroko, za dużo. Kamera przecięła na ujęcie spowiedzi. Uśmiech zgasł w ułamku sekundy, zastąpiony przez coś zimnego i lekko protekcjonalnego.

– No, jeśli ona tak myśli, to po prostu jest kompletnie oderwana od rzeczywistości…

Lucy wycelowała pałeczkami w ekran.

– Proszę! Królewski drań we własnej osobie!

Uszy Księżniczki drgnęły. Podniosła głowę i spojrzała na nią z miską przy nosie.

Uczestnik dalej pastwił się nad kimś z tą specyficzną protekcjonalną manierą i bez wysiłku Lucy zobaczyła Ariela Devereux dokładnie na tym miejscu — dżentelmena przed kamerą, koszmar po wyjściu ze studia.

Złapała pilota i wcisnęła przycisk z energią nieproporcjonalną do sytuacji.

Ekran zgasł.

– I po moim dobrym humorze.

Księżniczka przechyliła łeb. Nie rozumiała, ale wyraźnie solidaryzowała się z tonem.

– Nie ty, maleńka. – Lucy podrapała ją za uchem. – Ty wciąż jesteś idealna.

Godzinę później, świeżo po kąpieli, która nie zrobiła absolutnie nic dla jej frustracji poza spłukaniem dnia z powierzchni skóry, Lucy owinęła się ulubionym jedwabnym szlafrokiem — wytarty przy kołnierzu, na końcach już trochę strzępiasty, zbyt wygodny, żeby wyrzucić — i rozsiadła na kanapie z laptopem. Księżniczka zwinęła się przy jej udzie, ciepła jak poduszka z własną wolą, i zasnęła z westchnieniem.

No dobrze, Wasza Wysokość. Zobaczmy, co cię napędza.

IMDb załadowało się bez pośpiechu. Filmografia Devereuxa ciągnęła się przez kilka ekranów — dwie dekady, niemal od nastoletniego wieku. Kliknęła w pierwsze zdjęcie z niszowego dramatu, kiedy miał dwadzieścia lat. Z ekranu patrzył na nią chłopak o za dużych kościach policzkowych i tych niebiesko-zielonych oczach, które na zdjęciu wyglądały jeszcze intensywniej niż przy biurku.

– Nawet jako dzieciak miałeś tę zadufaną minę.

Przewinęła do *The Last First Date*.

Złoto box office, krytycy zachwyceni, widownia zakochana — a na czerwonych dywanach za każdym razem inna olśniewająca kobieta. Nigdy ta sama twarz dwa razy.

Aż do Camille Laurent.

– Problemy z zaangażowaniem? – mruknęła, przewijając dalej. – Czy po prostu jesteś dupkiem?

Otwierała wywiady jeden po drugim. Ariel na kanapie nocnego talk-show — czarujący, dowcipny, każda odpowiedź dopieszczona tak, żeby nic nie powiedzieć. Żadnej rysy. Żadnego szybszego oddechu przed trudnym pytaniem. Fasada lśniąca jak lakier.

– Mógłbyś chociaż udawać, że to coś dla ciebie znaczy.

Wzrok Lucy powędrował ku plakatowi na ścianie naprzeciwko. Kim Woo-bin patrzył z niego tym swoim miksem intensywności i wrażliwości, który działał na nią od lat jak zegarek.

– Gdyby tylko. – Westchnęła w stronę plakatu. – Ty na pewno nie traktowałbyś swojej menedżerki jak mebel, prawda?

Księżniczka zachrumkała przez sen.

Lucy przewijała dalej — akcje charytatywne, festiwale, branżowe imprezy. Ariel Devereux wszędzie i nigdzie jednocześnie; doskonale wykalkulowana obecność, z której nic nie wynika.

Ekran zaczął się lekko zamazywać.

Zamrugała. Jeszcze tylko kilka artykułów.

Głowa opadła do przodu, szarpnięcie karku wyrwało ją z krótkiej drzemki. Przetarła oczy, poprawiła się, zdeterminowana.

Następnym razem, gdy je zamknęła, już nie otworzyła.

Laptop zsunął się jej lekko na bok, ekran świecił twarzą Ariela zamrożoną w idealnym uśmiechu z jakiejś premiery. Księżniczka przesunęła się bliżej, ciepła i ciężka.



Ekspres prychnął i zabulgotał, wypełniając kuchnię Seraph jedynym dźwiękiem, bo Lucy ziewnęła na tyle szeroko, że szczęka jej strzyknęła.

7:46. Budynek był jeszcze przygaszony, cichy, zanim wciągnie pierwszą głębszą porcję powietrza i zamieni się w siebie.

Wzięła kubek w obie dłonie, oparła się o blat. Łyk kawy — gorący, czarny, bez ozdób. Jajko w kanapce śniadaniowej wciąż lekko parzyło przez papier, bekon chrupiący z jednej strony. Małe zwycięstwa.

Drugie ziewnięcie dopadło ją w połowie kęsa.

Piętnaście minut. Tyle miała, żeby wybudzić się na tyle, by wyglądać jak ktoś, kto spał. Nakarmić się kofeiną. Psychicznie

przygotować na pierwsze oficjalne spotkanie z Arielem Devereuxem w charakterze jego agentki.

Myśl ścisnęła coś pod żebrami.

Pociągnęła większy łyk kawy.

Księżniczka spojrzała na nią rano wzrokiem człowieka porzuconego — wielkie oczy śledziły każdy krok Lucy aż do drzwi. Przynajmniej jedna z nich mogła pospać.

Lucy zerknęła w swoje odbicie w szybie szafki. Profesjonalna. Ogarnięta. Gotowa na cokolwiek, co Ariel postanowi dziś wywinąć.

W oddali rozległ się dźwięk windy.

Wzięła kubek i ruszyła w stronę recepcji. Za wcześnie na aroganckiego aktora — pewnie serwis albo—

Głos Angeliki poniósł się korytarzem — ten miękki, przekonujący, którym zamykała największe deale i usypiała czujność najtrudniejszych klientów.

– …naprawdę jesteśmy najlepszą butikową agencją w Los Angeles. Naszą dumą jest indywidualne podejście do każdego klienta.

Lucy wyszła zza rogu.

I się zatrzymała.

Obok Angeliki szedł Ariel Devereux — śnieżna koszula, mankiety podwinięte do połowy przedramion, włosy w tym drogim, niby-niedbałym układzie. Szedł tak, jakby każdy budynek, do którego wchodził, z góry był jego.

Wyglądał, jakby był na nogach od kilku godzin. Pewnie trening personalny od świtu, potem zielony koktajl o nazwie niemożliwej do wymówienia na trzeźwo.

– Lucy pracuje z naszymi najbardziej wymagającymi klientami — ciągnęła Angelica. — Miała pod opieką wszystkich, od Briana Wilde'a po Jessicę Gracy.

Brew Ariela uniosła się nieznacznie.

– Czyli głównie aktorzy?

– Właściwie… – Angelica uśmiechnęła się tym konkretnym uśmiechem. – Zaczynała od wokalistów.

– Cześć wam.

Lucy przecięła ich rozmowę, głos ostry i równy. Wyciągnęła dłoń.

Jego oczy skupiły się na jej twarzy i odczytały to wejście dokładnie tak, jak chciała: granica postawiona. Uścisnął jej dłoń mocno, krótko, bez zbędnych gestów.

– To co, idziemy? – wskazała w stronę gabinetu.

Zamek kliknął, odcinając ich od reszty biura.

Ariel stanął na chwilę, przyjmując przestrzeń — nagrody na półkach, zdjęcia klientów na ścianach, notatki przylepione do monitora w porządku, który dla nikogo innego nie miał sensu. Jego wzrok przesuwał się powoli, jak ktoś, kto czyta pokój zamiast go oglądać.

– Pracowałaś wcześniej z wokalistami.

Usiadła za biurkiem, spotkała jego spojrzenie ponad blatem.

– Stare dzieje.

Dwa słowa, płaskie jak zamknięte drzwi. Coś na jego twarzy zamigotało — ciekawość, natychmiast schowana — po czym usiadł naprzeciwko, zakładając kostkę na kolano.

– Dobrze. Słucham.

Lucy otworzyła laptopa, ustawiła ekran pod kątem widocznym dla nich obojga. Spędziła nad tą prezentacją godziny i żadna nieprzespana noc nie miała jej teraz odbierać tego momentu.

– Twoja kariera jest sukcesem pod każdym względem. – Przeklikała do jego filmografii. – Dwadzieścia lat, stabilne wyniki box office, uznanie krytyków w gatunku komedii romantycznej.

– Czuję, że nadchodzi „ale".

– Ale zostałeś zaszufladkowany. – Wyświetliła obok siebie plakaty z jego czterech ostatnich filmów. Ten sam uśmiech, ta

sama pozycja ciała, ten sam Ariel, którego świat oczekuje przy każdym nowym projekcie. – Jesteś romantycznym leadem. Uroczym architektem, spontanicznym florystą, dowcipnym-czymkolwiek, byle nadawało się na pierwszoplanowego faceta.

Szczęka Ariela zarysowała się ostrzej. Nie powiedział nic.

– Branża widzi cię w jednym wymiarze. – Otworzyła kolejną zakładkę. – Jeśli chcesz przetrwać dłużej niż do końca ery ładnych chłopców z komedii romantycznych, potrzebujesz wachlarza. Dramatu. Czegoś, co pokaże, że jesteś kimś więcej niż uśmiechem i dobrym timingiem.

– Jakież to odświeżające. – Sarkazm zmieścił się w każdym słowie. – Kolejna osoba, która wie lepiej, czego potrzebuję.

– Mówię ci, co pokazują liczby. – Odwróciła laptopa w jego stronę. – Ostatnie trzy filmy, kolejne spadki. Widzowie mają dość przewidywalnych rom-comów, a ty jesteś twarzą tego znużenia.

Ariel pochylił się. Twarz spokojna, ale oczy pracowały szybko — chłonęły, przeliczały, szukały dziury w danych. Palec przesunął się po wykresie.

– Mam plan w trzech etapach. – Przeklikała dalej. – Po pierwsze: zmiana wizerunku. Wywiady skupione na treści, nie na uroku. Po drugie: role dramatyczne — na początek mocne drugoplanówki w projektach z prestiżem. Po trzecie: budowanie

do głównej roli dramatycznej, która redefiniuje, kim jesteś na ekranie.

Cisza.

– Odrobiłaś zadanie domowe. – Oparł się wygodniej, na twarzy pojawił się cień czegoś, co mogłoby być szacunkiem, gdyby nie trzymał go jeszcze na tyle krótko. – To ci przyznam, pani Crowe.

– Lucy.

– Lucy. – Powtórzył, ostrożnie, jakby testował, czy słowo pasuje do miejsca. – I uważasz, że to zadziała?

– Uważam, że jeśli zostaniesz w strefie komfortu, twoja kariera skończy się za pięć lat. To daje ci dwadzieścia.

Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, nie był ciepły. Ale był prawdziwy — pierwszy taki od kiedy wszedł przez te drzwi.

– W porządku. Pokaż, co masz.

Lucy otworzyła listę — thrillery, kryminały, mroczne dramaty psychologiczne, które zmyją z niego wszystkie rom-comowe oczekiwania. Powiększyła treatment thrillera psychologicznego w preprodukcji.

Ariel pochylił się, oczy zwęziły się, gdy czytał.

– Rola drugoplanowa – wyjaśniła. – Ale z mięsem. Siedemnaście scen, pełny łuk postaci, śmierć na ekranie, która pewnie zgarnęłaby szum nagrodowy.

– Śmierć na ekranie. – Kącik ust drgnął. – Tego nie da się prześlinić pocałunkiem.

– Właśnie o to chodzi.

Przewijała dalej: niszowy dramat o uzależnieniu i rodzinnych traumach, film kostiumowy o zbrodniach wojennych — każdy projekt coraz ciemniejszy, coraz dalej od plażowych zaręczyn i penthousów na Manhattanie.

Ariel studiował każdy tytuł z intensywnością, której się nie spodziewała. Poprzednia zblazowana fasada zniknęła; w jej miejsce pojawił się głód. Palec śledził tekst na ekranie, usta poruszały się cicho, gdy powtarzał sobie kluczowe fragmenty.

– Moi poprzedni agenci nigdy… – urwał, poprawił się. – Tego wcześniej nie było na stole.

– Bo komedie romantyczne są bezpieczniejsze. Lepsze stawki, gwarantowane wyniki, mniejsze ryzyko. Po co mieliby pchać cię w niepewność, skoro twój urok płaci rachunki? – Lucy zamknęła zakładkę z filmografią, otworzyła nową. – Ale ja mówię, sprawdźmy coś innego. Nie dam ci obietnicy, bo nie jestem wróżką. Ale na tym polega ryzyko.

Coś przesunęło się w jego twarzy. Nie odpowiedział od razu — i to była nowość, bo do tej pory każda riposta przychodziła mu bez pauzy.

– Mhm. To moja twarz zaryzykuje, nie twoja, pani Crowe.

Wstał. Obszedł biurko z tą drapieżną gracją, którą aktorzy doskonalą latami przed kamerą — zanim Lucy zdążyła przemieścić uwagę, był po jej stronie. Nie naprzeciwko. Obok.

Bez pytania przyciągnął wolne krzesło i usiadł — róg biurka między nimi, kąt współpracy, odległość kalkulowana co do centymetra.

Nie cofnęła się ani o krok.

– Twoja twarz jest przyklejona do twojej kariery. – powiedziała spokojnie. – A twoja kariera jest przyklejona do mojego nazwiska. Jeśli ty polegniesz, ja też. Jeśli odniesiesz sukces, oboje wygrywamy.

– Jakie to szlachetne.

Lucy otworzyła thriller. Ariel pochylił się nad ekranem i przez chwilę jego ramię niemal muskało jej ramię — drogi, dyskretny zapach perfum wypełnił małą przestrzeń między nimi, ciepły i zbyt bliski.

Lucy przewinęła stronę bez zwalniania.

– Ten reżyser nie cierpi aktorów jadących na samej urodzie. Wyciśnie z ciebie wszystko. Osiemnaście godzin na planie, metoda, pełne zanurzenie.

– Brzmi uroczo.

– Brzmi jak praca.

Otworzyła plik z indie dramatem — kamera z ręki, naturalne światło, improwizowane dialogi, które ogołocą go z każdej wyuczonej maniery. Oczy Ariela przesunęły się po opisie postaci i w jego twarzy coś drgnęło. Zbyt szybko.

– Nie wiedziałem, że potrafisz być taka bezwzględna. – Słowa zabrzmiały miękko, niemal z podziwem. Odwrócił głowę od ekranu, uwaga przeniosła się na jej profil.

Lucy nie uciekła wzrokiem.

– Przyzwyczajaj się, panie Devereux.

Uśmiechnął się powoli, szczerzej niż wcześniej — jakby właśnie zaliczyła jakiś niewidzialny test.

– Ariel.

– Słucham?

– Mów mi Ariel. – Wskazał brodą na laptop. – Skoro masz zamiar rozwalić moją wygodną karierę, możemy chyba przejść na ty.

Znowu skupił uwagę na ekranie. Odległość między nimi się nie zmieniła. Za każdym razem gdy sięgała po notatki albo poprawiała kąt laptopa, czuła tę świadomą bliskość — nieagresywną, ale obliczoną co do centymetra.

– Wyślij mi to wszystko, przejrzę później. – W końcu się wyprostował.

– Dostaniesz komplet do końca dnia.

Otworzyła dokument ze strategią medialną. Czuła na sobie jego wzrok z tą chirurgiczną dokładnością, którą widziała już przy analizie filmografii — tylko że teraz obiektem nie były wykresy.

Podsunęła się bliżej biurka.

– Twój obecny styl wywiadów tylko cementuje wizerunek faceta z komedii romantycznych. – Zaznaczyła fragmenty z jego ostatnich tourów promocyjnych. – Flirtujące gadki z prowadzącymi, żarciki o tym, że wiem, że jestem ładny. – Przeklikała kilka przykładów. – Potrzebujemy treści. Wywiadów, które pokażą—

Urwała.

Patrzył nie na ekran.

Na nią.

Ta sama analityczna ciekawość, z jaką przed chwilą czytał treatmenty — tylko teraz była nią ona.

Ciepło wspięło się po jej szyi, zanim zdążyła je zatrzymać.

– Mam coś na twarzy, czy co?

– Nie. – Słowo spadło krótko, gdy skrzyżował ramiona i odchylił się w krześle. – Po prostu mnie intrygujesz.

Lucy utrzymała kontakt wzrokowy, nie dając mu satysfakcji pierwszego odwrócenia głowy.

– Nie jesteś pierwszym facetem, którego zaintrygowałam. – Pauza o sekundę za długa. – Zawodowo, oczywiście.

Uśmiech pojawił się powoli. Pełna wersja — ta z plakatów, ta, która pewnie robiła spustoszenie od Seulu po Sao Paulo.

– Powtarzaj to sobie dalej, skarbie.

Szczęka Lucy napięła się. W głowie odhaczyła siedemnaście sposobów na uszkodzenie tej atrakcyjnej, irytująco pewnej siebie twarzy bez pozostawiania śladów widocznych na kamerze. Żaden nie mieścił się w kodeksie zawodowym.

– Mógłbyś się skupić?

– To nie ty miałaś być najlepsza? – Rozbawienie w jego oczach tylko się pogłębiło.

– Jestem najlepsza. – Obróciła ekran w jego stronę odrobinę za energicznym ruchem. – Dlatego nie pozwolę ci tego sabotować przez jakieś twoje gierki.

Przez chwilę tylko na nią patrzył. Potem coś w kąciku ust — nie uśmiech, ale blisko.

– Mów dalej. – Rozplótł ramiona, uwaga wróciła do ekranu.

Lucy wzięła oddech.

– Długie formy. – Wyświetliła listę dziennikarzy i programów. – Wywiady, z których nie wyjdziesz po pięciu minutach flirtu. Godzinne rozmowy o warsztacie—

– Brzmi absolutnie pasjonująco dla widowni.

– Brzmi prawdziwie. – Powiększyła profil dziennikarki z uznanego magazynu filmowego. – Ta specjalizuje się w retrospektywach karier. Zadaje niewygodne pytania.

Ariel przewijał przykłady, palec zatrzymał się na jednym szczególnie brutalnym pytaniu — o aktorze, który nigdy nie udźwignął dramatu. Czytał je dwa razy.

– Nie bawi się w rękawiczki, co?

– Ja też nie. – Lucy podniosła na niego wzrok.

Za drzwiami dochodziły stłumione odgłosy budzącego się budynku — telefony, kroki, czyjś śmiech w korytarzu.

– Co dalej? – Tym razem jego ton był inny. Bez ironii. Słuchał.

Rozłożyła przed nim całą strategię: podcasty o analizie filmowej, panele branżowe o szufladkowaniu w rolach, długie teksty, w których to on będzie sobie dobierał narrację zamiast odgrywać ją na żywo.

– Zero porannych śniadaniówek przez pół roku. Żadnych flirtów w studiach. – Zamknęła listę, spotkała jego spojrzenie. –

Kreujemy cię na kogoś, kto ma coś do powiedzenia i przy okazji dobrze wygląda. Nie odwrotnie.

– Brutalne.

– Konieczne.

Wstał.

Podszedł do okna.

Za szybą Los Angeles rozlewało się po horyzont, poranne światło rzeźbiło mu profil — kąt żuchwy, linia nosa, ramiona lekko opuszczone. Kamery kochały go właśnie tak.

Tyle że kamery nigdy nie widziały tego, co teraz: drobnego napięcia przy skroni, palców zaciskających się i rozluźniających wzdłuż szwu spodni.

Lucy wzięła tablet. Stuknęła w ekran — trochę za mocno, bo jego obecność przy oknie zajmowała więcej miejsca niż powinna.

– Tu. – powiedziała do ekranu. – Trzy kluczowe wywiady na start. Każdy zaprojektowany, żeby przesunąć percepcję o krok.

– Mmm.

Dźwięk padł zdecydowanie zbyt blisko jej ucha.

Obróciła się.

Był za nią.

Pochylony, niemal dotykając jej plecami swoim torsem, oczy na ekranie tabletu — a jednak cały skupiony na tym, jak ona reaguje na jego obecność. Perfumy, ciepło przez materiał koszuli, odległość mierzona w centymetrach.

Odchrząknęła. Przewinęła dalej.

– Ten jest kluczowy. – Głos wyszedł równiej, niż się spodziewała. – Dociera do branży, do ludzi od festiwali, do głosujących przy nagrodach—

– Jesteś bardzo dokładna. – Ciepło jego oddechu muskało skórę tuż przy uchu.

Odruchowo zrobiła krok w bok — biodrem trafiła w kant biurka, równowaga poszła i—

Jego ramię owinęło się wokół jej talii.

Silny, pewny uchwyt, i ona stała, złapana w pół ruchu, z dłonią Ariela płasko na jej żebrach przez cienką tkaninę bluzki.

– Ostrożnie, pani Crowe.

Uśmiech słyszała w tym głosie, zanim zdążyła się odwrócić. Niebiesko-zielone oczy błyszczały rozbawieniem — rejestrującym każdy niuans, każde przyspieszenie oddechu, każdy centymetr rumieńca.

Jego ramię wciąż trwało przy jej żebrach. Nie ruszył się.

– Ach – powiedziała do przestrzeni przed sobą. Bardzo profesjonalnie.

– Uwierz mi, wiele kobiet chciałoby się z tobą zamienić w tej chwili.

Gorąco uderzyło jej do policzków z opóźnieniem dokładnie wystarczającym, żeby miał to zobaczyć. Wyrwała się z jego uścisku, zrobiła krok w tył, wygładziła bluzkę ruchem, który miał wyglądać jak porządkowanie materiału, a wyglądał jak porządkowanie siebie.

– Ja… przepraszam.

Słowa wyszły za cicho.

Ariel nie wyglądał na zakłopotanego. Skrzyżował ramiona, oparł się biodrem o jej biurko — *jej* biurko — doskonale osadzony w napięciu, które sam wywołał.

– Nie ma za co. – Śledził każdy jej ruch, kiedy obchodziła biurko i wracała na swoje miejsce. – Choć ciekawi mnie, czemu moja najlepsza agentka tak łatwo się peszy.

– Nie peszę się.

– Oczywiście. – Podniósł tablet, jakby nic się nie stało. – Zawsze robisz się tak różowa, kiedy mówisz o mediach.

Lucy przygryzła wewnętrzną stronę policzka. Przysunęła do siebie laptopa, otworzyła nowy dokument.

Ariel uniósł wzrok znad tabletu.

– Naprawdę myślisz, że to zadziała. – Nie pytanie. Ważenie jej przekonania.

Lucy nie uciekła spojrzeniem.

– Myślę, że jesteś wystarczająco dobry, żeby to udźwignąć. Jeśli przestaniesz chować się za tym uśmiechem.

Słowa wyszły szczerzej, niż planowała. Coś w jego twarzy drgnęło — może zaskoczenie bycia przejrzanym na wylot przez kogoś, kto nie miał tak tego robić.

Powoli odłożył tablet na blat.

– W takim razie… – głos stracił zaczepny ton. – Chyba powinniśmy zacząć od tych wywiadów.

– Dobrze.

Otworzyła kalendarz.

Kubek z kawą przy klawiaturze był już zimny — nie pamiętała, kiedy przestał parować. Zaczęła wpisywać daty, synchronizować terminy z mediami, które miała już wstępnie na haku. Ariel wrócił na miejsce naprzeciwko, tym razem z przestrzenią między nimi, którą oboje po cichu zaakceptowali.

Patrzył, jak pracuje — jak buduje dla niego nowy wizerunek kawałek po kawałku, mail po mailu. Na jego twarzy nie było ani śladu kpiny. Tylko skupienie.

– Jesteś naprawdę wyjątkowa, pani Crowe.

Lucy nie oderwała wzroku od ekranu. Kciuk zatrzymał się na chwilę przy rogu klawiatury, potem wrócił do pracy.

– Lucy. – Pauza. – I dziękuję.

Rozdział 3

Niebieskawa poświata telewizora kołysała się po ścianach salonu, rysując miękkie cienie. Księżniczka zajęła całą kanapę tak, jak tylko bostoński terier potrafi — rozlana brzuchem do góry, tylne łapy w powietrzu, z miną kogoś, kto nigdy w życiu nie miał żadnych problemów.

Lucy miała jej to za złe.

– No dobrze, dziewczyno. Czas na coś dobrego.

Przewijała Netflixa, koc podciągnięty pod brodę, palec zawisł nad dobrze znajomą miniaturką. *Moonlight & Mochi Hearts*, odcinek dwunasty. Ten, w którym Park Ji-woo wyznaje w deszczu.

Wcisnęła „play".

Smyczki rozlały się po salonie — ciepłe, nostalgiczne, dokładnie takie, jakich potrzebowała po tym dniu. Na ekranie nocny Seul migotał mokrymi ulicami, neonami odbijającymi się w kałużach. Lucy wsunęła się głębiej w poduszki. Księżniczka przesunęła się bez otwierania oczu i oparła pomarszczony pyszczek na jej udzie — ciepły, ciężki jak mały worek z piaskiem.

Na ekranie pojawił się Park Ji-woo w idealnie skrojonym garniturze, spojrzenie intensywne i szczere jednocześnie, bez grama kalkulacji.

– Widzisz, Księżniczko? – Lucy wskazała palcem w ekran. – Tak się zaczyna komedia romantyczna. A nie jak z tym kretynem.

Przed oczami mignęła jej twarz Ariela — oparty nonszalancko o jej własne biurko, ten kpiący półuśmiech, włosy w drogim nieładzie.

Na ekranie Park Ji-woo uśmiechał się do bohaterki z ciepłem, które Lucy czuła przez ekran. Czyste. Niewykalkulowane. Rozczulające w najbardziej bezbronny sposób.

– Achhh. – Coś ścisnęło ją pod żebrami. – Gdyby tacy faceci istnieli.

Telefon zabuczał na stoliku.

Sięgnęła po niego, spodziewając się Victorii z wieczorowym *co słychać*.

Ariel: *Żaden z tych filmów mi się nie podoba. Szukaj dalej.*

Lucy wpatrywała się w ekran.

Zamrugała.

Przeczytała drugi raz.

– Serio!?

Księżniczka zerwała się na równe nogi, uszy postawione jak dwa małe radary.

– Widzisz?! – Lucy zamachała telefonem przed psim nosem jak dowodem rzeczowym. – On jest beznadziejny.

Palce zaczęły śmigać po ekranie, zawodowe odruchy walczyły z dziką potrzebą napisania mu dokładnie tego, co o nim teraz myśli, ze wszystkimi szczegółami.

Lucy: *Jasne, znajdę coś lepszego.*

Wysłała i rzuciła telefon ekranem do dołu na kanapę, jakby był gorący.

– Niewdzięczny, wybredny, nie do wytrzymania… – machnęła ręką w stronę telewizora, gdzie Park Ji-woo właśnie gotował ramen dla bohaterki w nienaturalnie nieskazitelnym mieszkaniu. – Czemu ja nie mogę mieć takich klientów? Miłych. Wdzięcznych—

Wspomnienie uderzyło ją bez ostrzeżenia.

Ramię Ariela wokół jej talii — twarde, pewne. Ciepło przez cienką tkaninę bluzki, gorętsze niż powinno być przez jeden gest. Musiała świadomie nie opierać się do tyłu. Oczy śledzące każdy milimetr rumieńca, głos obniżony do tonu, który działał jak palec przesunięty po karku: *Uwierz mi, wiele kobiet chciałoby się teraz z tobą zamienić.*

Policzki zapiekły znowu, bez konsultacji.

– Dobra. – Wskazała na Księżniczkę tonem, który miał brzmieć stanowczo i prawie takim brzmiał. – Może i jest przystojny.

Księżniczka zaszczekała. Krótko. Oskarżycielsko.

Lucy uniosła obie ręce.

– Ale tylko, *tylko* trochę! Tak minimalnie! Tyci tyci.

Kolejne szczeknięcie.

– Mówię serio! To jest zupełnie nieistotne dla naszej relacji zawodowej!

Telefon zawibrował znowu.

Sięgnęła po niego z tym samym napięciem, z jakim zwykle otwierała maile z „pilnymi zmianami w kontrakcie".

Ariel: *Lepiej zrób na mnie wrażenie.*

– Ten dupek. – Zaciskała palce na obudowie tak mocno, że poczuła własne kostki pod skórą. Księżniczka przechyliła głowę, śledząc jak twarz Lucy w ciągu trzech sekund przechodzi przez cały wachlarz emocji, które widziałaby tylko ona.

– Znajdę ci film, po którym zaniemówisz, ty pretensjonalny, zadowolony z siebie, nieznośny—

Palce przeszły w tryb agentki: *Oczywiście.*

Wysłała.

Odłożyła telefon jak dowód zbrodni i wróciła wzrokiem na ekran. Park Ji-woo był w środku wyznania, deszcz przyklejał mu

włosy do czoła w idealnie nieidealny sposób, oczy błyszczały emocją bez dystansu do siebie.

– Dlaczego. – Lucy wpatrzyła się w sufit. – Dlaczego brytyjskie gwiazdki rom-comów nie mogą być jak bohaterowie z koreańskich dram? Co się stało z rycerstwem? Ze szczerością? Z niebyciem totalnym wrzodem na—

Wibracja.

Lucy spojrzała na telefon.

Zaczęła się gapić w niego z uporem.

– Nie spojrzę.

Kolejna.

– Księżniczko, nie spojrzę.

Terier westchnął głęboko i wcisnął nos w koc.

– Obejrzę sobie wyznanie Park Ji-woo i zignoruje wszystkie nowe żądania Jego Królewskiej Dupkowatości.

Kolejne wibracje.

– No dobra, dobra.

Porwała telefon.

Ariel: *Nic zbyt pretensjonalnego. Chcę to faktycznie obejrzeć.*

Zaskakujące, wiem.

Przeczytała obie wiadomości trzy razy, szukając ukrytej szpili. Druga brzmiała… jakby trochę z dystansem do siebie? Z cichym ironicznym mrugnięciem?

Może?

Potrząsnęła głową.

– Nie, nie dam się na to nabrać. – Wskazała na ekran, gdzie Park Ji-woo płakał właśnie idealną, pojedynczą łzą po idealnej kości policzkowej. – On by się tak nie bawił. Spójrz na tę szczerość.

Lucy westchnęła i przycisnęła telefon do piersi.

– Dlaczego moje życie wygląda właśnie tak?

Księżniczka odpowiedziała głośniejszym chrapnięciem.

Rozdział 4

– Ech.

Victoria oderwała wzrok od laptopa.

– Odrzucił wszystkie scenariusze?

– Tak, kurwa. – Lucy przejechała palcem po ekranie tabletu ostrzej, niż było trzeba. – Każdy z osobna. Zbyt wtórny. Zbyt pretensjonalny. Niewystarczająco ciekawy. Wybierz sobie wymówkę.

Siedziały w lounge Seraph — kawa Lucy stygła przy łokciu, bo zapomniała o niej przy trzecim scenariuszu. Victoria miała tę minę, którą Lucy znała na pamięć: złośliwie rozbawionej i kompletnie niezaskoczonej.

– No, wymagający jest. – Oparła się wygodnie. – Wsadź go w jakieś horrory klasy B. Niech go straszą własne demony.

– Marzenie. – Lucy marszcząc brwi, kciuk przeskakiwał między folderami. Nagle twarz jej się zmieniła — oczy się rozszerzyły, palec zamarł. – Czekaj. Chyba mam coś.

– Inny scenariusz?

– Mhm. – Już otwierała plik. Przebiegła wzrokiem po streszczeniu, serce przyspieszyło. To mogło zadziałać. To naprawdę mogło—

Zerknęła na godzinę i gwałtownie wciągnęła powietrze.

– O kurwa, muszę lecieć. Mamy zaraz wywiad.

– Powodzenia, kochana! – Victoria pomachała jej bez odrywania wzroku od ekranu. – I nie daj mu się wyślizgać od roboty samym urokiem.

– Nigdy.

Budynek studia wyrósł przed nią nowoczesną, industrialną bryłą — cegła, wielkie okna, ta modna estetyka *jesteśmy tacy autentyczni*, która kosztuje fortunę i sugeruje, że o pieniądzach nawet się tu nie myśli. Lucy zaparkowała BMW z precyzją, której wewnątrz kompletnie nie czuła.

Ariel czekał przed wejściem.

Jedna dłoń w kieszeni, w drugiej telefon, ramiona lekko opuszczone — ktoś, kto stoi na chodniku i nie wie, że właśnie wygląda jak ujęcie z kampanii. Południe złapało jasne pasma w jego ciemnym blondzie i Lucy naprawdę, bez żadnych zastrzeżeń, nienawidziła faktu, że tak to wyglądało.

Podniósł wzrok, gdy podeszła. Schował telefon.

– Punktualnie, pani Crowe.

– Zawodowe zboczenie. – Poprawiła torbę na ramieniu. – Przeczytał pan brief?

– Od deski do deski. – Ten znajomy, lekko drwiący półuśmiech. – Fascynująca lektura. Podobno mam być czarujący.

– Odkrywcza koncepcja.

– Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej nie robiłem wywiadu w formie podcastu. – Urwał na sekundę, wzrok na chwilę gdzieś indziej. – To całe luźne siedzenie i gadanie.

– Och, twój pierwszy raz. – Słowa wyskoczyły szybciej niż filtr.

Lucy zamarła.

Brwi Ariela powędrowały w górę z oczywistą, powolną satysfakcją.

– To znaczy — – zaczęła.

– Bądź delikatna. – Uśmiech stał się czysto diabelski, oczy zabłysły. – Bardzo się denerwuję.

– Nie o to mi chodziło. – Ciepło zalało ją od szyi w górę, zdradzieckie i nieproszone. – Chodziło mi o format. Ten konkretny format wywiadu.

– Oczywiście. – Powiedział to z miną tak niewinną, że aż obraźliwą, kącik ust zdradzał go kompletnie. – A co innego mogłaby pani mieć na myśli?

Lucy otworzyła usta — i w tej samej chwili drzwi studia rozwarły się z hukiem.

– Hej, wy dwoje!

Dziennikarka wyszła im naprzeciw z wyćwiczonym entuzjazmem, który wyrabia się po latach bycia *on*. Około trzydziestki, bezwysiłkowo elegancka w jeansach i jedwabnej bluzce, ciemne włosy spięte w gładki kucyk. Spojrzenie zawisło na Arielu o sekundę za długo, uśmiech wyraźnie się rozjaśnił.

Jeszcze zanim cokolwiek powiedział. Lucy odnotowała to bez komentarza.

– Ogromnie mi miło! – Stephanie wyciągnęła dłoń, w zdecydowanej większości w kierunku Ariela.

– Dziękujemy za zaproszenie. – Ariel wysunął się o krok do przodu z tym uśmiechem zarezerwowanym dla kamer i nieznajomych. – Cieszę się na tę rozmowę.

– My też, naprawdę! – Stephanie przeniosła uwagę na Lucy z minimalnym opóźnieniem. – A pani musi być Lucy Crowe. Słyszałam wspaniałe rzeczy o Seraph.

– Dziękuję. – Lucy odwzajemniła uścisk. Zawodowy uśmiech, wyćwiczony do perfekcji. – Doceniamy zaproszenie.

Szli korytarzem.

Stephanie przy Arielu, pytając o *Midnight in Manhattan* tonem kogoś, kto obejrzał ten film co najmniej sześć razy, a Ariel słuchał z pozorną uwagą — akcent lekko wyostrzony, polerowany dżentelmen. Lucy szła krok za nimi z tabletem ściskanym w obu dłoniach.

Wnętrze studia grało z estetyką budynku — cegła, stare meble zmieszane z nowoczesnym sprzętem, ring lighty ustawione wokół niskiego stolika z dwoma wygodnymi fotelami. Ciepło, intymnie. Idealnie pod rozmowę, w której można się otworzyć.

Albo pod wywiad, w którym ktoś chce zapomnieć, że jest dziennikarzem.

– Podepniemy cię pod mikrofony. – Stephanie wskazała miejsca. – Bardzo swobodnie, jak pogawędka ze znajomymi.

– Brzmi idealnie. – Ariel usiadł z tą niewymuszoną gracją, którą miał chyba już we krwi — noga luźno na kolanie, ramiona opuszczone, jakby fotel był jego.

Lucy zajęła miejsce obok. Założyła nogę na nogę, tablet na kolanach.

Technik podszedł z mikrofonami. Sprawnie, rutynowo — klik przy kołnierzu Ariela, klik przy marynarce.

– Raz, raz, próba. – Głos Ariela zabrzmiał czysto w słuchawkach ekipy. – Jak mnie słychać?

– Idealnie.

Stephanie usiadła naprzeciwko z uśmiechem wciąż adresowanym głównie do Ariela.

Telefon Lucy zawibrował cicho w torbie. Pewnie Victoria z kolejnym pomysłem na rolkę. Lucy zignorowała, skupiając się na kamerze, która mignęła czerwonym światełkiem.

Rozgrzewka trwała trzy minuty. Może trzy i pół.

Stephanie pochyliła się, oparła brodę na dłoni. Oczy wlepione w Ariela z uwagą, która niewiele miała wspólnego z profesjonalizmem.

– Proszę mi powiedzieć — głos zsunął się o rejestr niżej — jak to jest być jednym z najbardziej pożądanych singli w Hollywood?

Nie było tego w liście pytań.

Szczęka Lucy lekko się zacisnęła. Patrzyła, jak wyćwiczony uśmiech Ariela się poszerza, jak przekrzywia głowę pod tym idealnym kątem, przy którym światło rzeźbi policzki bez potrzeby filtra.

Wstała.

– Dobrze. – Słowo wyszło ostrzej, niż planowała, rozcinając w pół odpowiedź, którą Ariel właśnie zaczynał formułować. Obcasy uderzyły w wypolerowany beton z klaśnięciem. – Pięć minut przerwy, zanim zaczniemy nagrywać.

Stephanie zamrugała, wyrwana z czegoś, co było już prawie uśmiechem do aparatu, kiedy aparatem był Ariel.

– Myślę, że naprawdę łapiemy flow — zaczęła, nadal patrząc na niego.

– Może aż za bardzo. – Lucy nie podnosiła głosu. Nie musiała. – Proszę trzymać się pytań, które wysłaliśmy. Jeśli nie, do wywiadu nie dojdzie.

Cisza.

Operator kamery zamarł z dłonią na statywie. Ktoś z ekipy technicznej nagle stał się bardzo zainteresowany kablem przy swoich stopach.

Policzki Stephanie poczerwieniały. Uśmiech się załamał.

– J-ja… oczywiście. Przepraszam. – Zerwała się, wygładzając nerwowo niewidzialne zagniecenia na jeansach. – Wody?

– Poproszę. – Ariel odparł tonem neutralnym jak beton.

Stephanie odwróciła się w stronę aneksu kuchennego, ruchy szarpane i zbyt szybkie. Przy blacie sięgnęła po małe radio i włączyła je — odruch kogoś, kto chce zagłuszyć ciszę, którą właśnie stworzył.

– …a teraz nowa piosenka! Levi Archer!

Całe ciało Lucy zesztywniało.

Pierwsze akordy rozlały się po studiu — akustyczna gitara, melancholia rozkładająca się w powietrzu jak dym. Potem głos. Ten głos.

Gładki jak bourbon po dobrym roku, niosący słowa, które dotarły do żołądka, zanim mózg zdążył ich posłuchać.

Oh baby, we were so good for each other…

Stephanie krzątała się przy szklankach, kompletnie ślepa na to, co właśnie wpuściła do pokoju.

– Nie jesteś trochę zbyt surowa? – Ariel odezwał się cicho, z lekką nutą żartu, ale oczy wwiercały się w jej profil z nową, skupioną uwagą.

But the road kept pulling our hands apart…

– Jak chce pan flirtować, to po godzinach. – Lucy nie spojrzała na niego. Wybrała punkt na ścianie naprzeciwko i trzymała się go obiema rękami.

Refren przetoczył się przez studio.

– O, ta piosenka jest taka urocza! – Stephanie wróciła z tacą, już otrząśnięta, rozpromieniona melodią jak ktoś, kto nie ma pojęcia, jaki ładunek właśnie wniósł do pomieszczenia.

You found sunlight, I found shelter…

– Jasne. – Lucy mruknęła to do przestrzeni, za cicho dla większości.

Ale Ariel siedział wystarczająco blisko.

Odwrócił głowę. Patrzył na nią z nową, uważną ciszą.

– Możemy to wyłączyć? – Głos Lucy wyszedł równy, zawodowy.

– Nie jesteś fanką? – rzucił.

Now I'm dancing with the echo of your heart…

Coś zakłuło ją pod mostkiem.

Na usta wspiął się ten sztuczny, perfekcyjny uśmiech.

– Mamy wywiad do zrobienia.

Stephanie sięgnęła po radio i ściszyła jednym płynnym ruchem, ucinając głos Leviego w połowie słowa.

– Oczywiście. Ma pani całkowitą rację. – Usiadła naprzeciwko, wyprostowana, wyraźnie z powrotem w trybie pracy. – Zaczynajmy.

Operator skinął głową. Ktoś odliczył bezgłośnie na palcach.

Lucy wróciła na fotel. Plecy wyprostowane. Tablet na kolanach jak tarcza.

Czuła wzrok Ariela — ciężki, pytający, z czymś za nim, co formowało się w kolejne pytania. Pytania, których nie zamierzała mu dać.

Czerwone światełko zapaliło się na kamerze.

– Witajcie ponownie! – Uśmiech Stephanie wrócił, skrojony pod wymogi nagrania. – Dzisiaj mam przyjemność porozmawiać z Arielem Devereuxem, gwiazdą waszych ulubionych komedii romantycznych. Ariel, bardzo dziękuję, że do nas dołączyłeś.

– Przyjemność po mojej stronie. – Urok włączył się na kliknięcie. Akcent wygładzony, uśmiech wycelowany. – Dziękuję za zaproszenie.

– Twój najnowszy film wywołuje sporo szumu… – Stephanie zerknęła do notatek. Tym razem trzymała się scenariusza.

Lucy wypuściła powietrze bardzo wolno nosem. Ekran tabletu na chwilę się rozmył, zanim znów złapała ostrość.

Skupić się na wywiadzie. Na odpowiedziach Ariela. Na tym, żeby wszystko było on brand, żeby żadne pytanie nie poszło w złą stronę, żeby te trzy miesiące zaczęły się już teraz i dobrze.

Nie na tym, że z głośników sączyło się akurat to, a nie jakikolwiek inny kawałek na świecie.

Nie na tym, że Ariel co kilka wypowiedzi zerkał na jej profil z nowym wyrazem twarzy — jakby właśnie znalazł coś, czego się nie spodziewał.

Profesjonalizm. To akurat miała opanowane.

Nawet jeśli *Now I'm dancing with the echo of your heart* wciąż odbijało się gdzieś pod żebrami i nie miało zamiaru przestać.

Rozdział 5

Restauracja była cicha jak na LA — tego rodzaju cisza, którą kupuje się razem ze stolikiem.

Lucy wbiła widelec w linguine z energią kogoś, kto ma do odreagowania cały tydzień.

Owinęła makaron wokół zębów widelca powoli, metodycznie.

– Nie możesz flirtować podczas wywiadów. – Spojrzała na Ariela ponad stolikiem. – Rebrandingujemy cię.

– Odrobina flirtu nikomu nie zaszkodzi, droga agentko. – Uniósł kieliszek wina z uśmiechem kogoś, kto wie, że ma rację.

– Właśnie robisz to znowu! – Widelec stuknął o talerz.

– Co poradzę? Jestem czarujący. – Oparł się swobodnie, ramię zarzucone na oparcie, kieliszek w palcach jak coś, czego się nie trzyma, bo nie ma powodu trzymać się niczego. – Trochę by ci się przydało wyluzować, wyjąć ten kij z—

– Pracuję teraz, wiesz? – ucięła go tonem płaskim jak blat biurka.

– Przepraszam, jestem w połowie Francuzem. – Uśmiech rozszerzył się, same zęby i psota. – Nic na to nie poradzę.

Gdyby mogła go udusić, zrobiłaby to bez wahania.

Zdjąć ten irytujący uśmieszek z jego bardzo ładnej twarzy — z prawdziwą przyjemnością. Palce drżały wokół widelca.

– Ale przyznam jedno… – Zawiesił głos, przyglądając się jej z analityczną ciszą. – Wyglądasz na kompletnie niewzruszoną moją osobą.

– A niby czemu miałabym być? – Skrzyżowała ramiona, makaron porzucony.

Brwi uniosły mu się o milimetr — gdzieś między zaskoczeniem a czymś żywszym.

– Cóż. Zazwyczaj kobiety w moim towarzystwie bardzo łatwo ulegają urokowi.

Spojrzała na niego bez mrugnięcia.

– I czemu niby miałabym ulec tobie?

– A czego tu nie lubić? – Wykonał niedbały gest w swoją stronę. – Jestem bogaty, sławny i bardzo atrakcyjny.

– Jak wszyscy inni duzi aktorzy w tym mieście. – Głos kliniczny, równy. – Dla mnie jesteś projektem.

– Projektem. – Coś ściągnęło mu kąciki ust na ułamek sekundy. Potem w niebiesko-zielonych oczach zapaliła się iskra czegoś żywego. – Interesujące.

– Tak. W trzy miesiące muszę dokonać cudu. – Sięgnęła po wodę.

– Fascynujące. – Mruknął raczej do siebie, palce wystukały krótki rytm na blacie. – Czyli każda osoba, z którą pracujesz, to po prostu kolejny projekt? – Sarkazm oblał słowo jak polewę. – Auć.

– Jestem agentką. Oczywiście, że tak. – W jej głosie pobrzmiała obrona, której nie planowała.

Ariel pochylił się do przodu. Łokcie na stole, celowo skracając przestrzeń między nimi.

– I z jakiegoś powodu nie lubisz wokalistów. – Oczy zwęziły się. – Jakiś projekt, który kiedyś nie wyszedł?

Twarz Lucy drgnęła — ledwie, mikroskopijnie, lekkie spięcie przy żuchwie. Ale on to wychwycił.

– To… nie jest twoja sprawa. – Lodowe ściany natychmiast wróciły na miejsce. – Po prostu wolę pracować z aktorami.

Ariel się uśmiechnął. Smakował pierwsze małe zwycięstwo.

– A jednak. – Owinął makaron wokół widelca, nie przerywając kontaktu wzrokowego. – Pęknięcie w zbroi.

– Nie ma żadnego pęknięcia.

– Kochanie, zarabiam na życie czytaniem ludzi. – Wziął kęs, przeżuł powoli, bez pośpiechu. – A ty w dwie sekundy przeszłaś z Królowej Lodu na rannego żołnierza.

– Nie przeszłam w nic—

– Był sławny? – wszedł jej w słowo, głos obniżył się, zrobił intymniejszy. – Ten wokalista, który zrobił z ciebie tak uroczo naburmuszoną osobę?

Palce Lucy pobielały na szklance.

– Nie będziemy o tym rozmawiać.

– Ależ będziemy. – Uśmiech szeroki, drapieżny i szczerze ciekawski w jednym. – Bo od tygodni rozkładasz mnie na czynniki pierwsze. Robisz listę wad, analizujesz każdy ruch. – Wskazał raz na nią, raz na siebie. – Uczciwość za uczciwość, mała menedżerko.

– Nie mów tak do mnie.

– Które słowo cię boli? „Mała"? Czy „menedżerka"? – Akcent pogłębił się, oplatając słowa jak jedwab. – Jedno i drugie pasuje. Ile masz, metr siedemdziesiąt? I formalnie — zarządzasz mną.

– Metr siedemdziesiąt jeden. – wycedziła.

– Mój błąd. – Ani trochę nie brzmiał na skruszonego. – Ten wokalista więc… – Pstryknął palcami. – Wspierałaś jego karierę. Gdy tylko wystrzelił — zapomniał, jak się nazywasz.

Jej twarz stała się całkowicie neutralna. Zbyt neutralna, zbyt szybko.

– Trafiłem, prawda? – Uśmiech się wyostrzył. – Dlatego tak bardzo się starasz, żeby wszyscy byli dla ciebie tylko transakcjami. Jak się nie angażujesz, nie możesz oberwać.

– Nic o mnie nie wiesz. – Cicho.

– Może. – Wzruszył ramionami. – Ale trochę już w tej branży siedzę. – Zakręcił winem w kieliszku, obserwując jak światło łamie się w szkle. – Człowiek uczy się rozpoznawać schematy.

Szczęka Lucy zarysowała się ostrzej.

Drań.

– Dobrze, tak. Masz rację. – Słowa wyskoczyły ostre, pocięte złością. – Lata temu wspierałam jednego wokalistę i jak sam powiedziałeś — tylko mnie wykorzystał. Wyciągnęłam wnioski, teraz pracuję w agencji. – Widelec znowu wbił się w makaron. – Zadowolony?

– Jestem głęboko poruszony tą historią. – Sarkazm kapał z każdego słowa, teatralnie przyłożył dłoń do piersi. – Taka rzadkość.

Jego wzrok zatrzymał się na niej sekundę za długo.

Lucy przewróciła oczami, już żałując, że cokolwiek powiedziała.

Świetnie.

Królewski Dupek potrafi łączyć kropki. I nie jest tak głupi jak większość celebrytów. Nie podobało jej się, że musi tę ocenę korygować.

– Wiesz co? Nienawidzę cię.

– Auć. – Uśmiech tylko się powiększył, prawdziwe rozbawienie błysło w rysach. – Zaraz po takim otwarciu serca? Huśtawka nastrojów jak z podręcznika.

– Jesteś dupkiem. – Bez filtra, bez formy, bez nawet próby profesjonalnego opakowania. – Myślisz, że jesteś taki wspaniały, ale nie jesteś. Jesteś tylko kolejnym przystojnym aktorem z kompleksem boga.

– Tego jeszcze nie słyszałem. – I zaśmiał się — nie tym wyreżyserowanym śmiechem do kamery, który Lucy widziała w dziesiątkach wywiadów. Krótki, autentyczny, trochę jakby go zaskoczył. – Zazwyczaj zostaje przy „trudny" albo „wymagający". „Dupek" jest krzepiąco szczere.

Ten dupek. Powtórzyła w głowie jeszcze głośniej, jakby samą siłą natężenia myśli mogła sprawić, że zrobi się lżej. Królewski dupek z idealnie rozwichrzonymi włosami i talentem do czytania ludzi jak scenariuszy.

– Bawisz się tym. – Widelec wycelowany w niego jak broń.

– I to jak. – Nawet nie próbował ukrywać. – Wiesz, jakie nudne jest moje życie? Wszyscy zgadzają się z każdym moim słowem.

Wszyscy śmieją się z żartów, które nawet nie są zabawne. Wszyscy udają, że jestem absolutnie genialny. – Pochylił się. – A ty szczerze nie możesz mnie znieść. To odświeżające.

– Cieszę się, że moja męka zapewnia ci rozrywkę.

– Zapewnia, faktycznie. – Patrzył na nią znad krawędzi kieliszka. – Jesteś autentyczna. Pewnie nawet nie wiesz, jak rzadkie to jest w tym mieście.

– Czyli teraz będziesz mnie komplementował? – Uniosła brwi. – Co dalej, zaczniesz się zachowywać profesjonalnie podczas wywiadów?

– Nie popadajmy w skrajności. – Machnął ręką. – Mam reputację do utrzymania.

– Reputację koszmarnego klienta?

– Między innymi. – Uśmiech drapieżny. – Powiedz mi — w tym całym swoim researchu znalazłaś coś faktycznie interesującego? Czy tylko standardowy pakiet PR?

Zawahała się. Zmiana kierunku była wystarczająco nagła, żeby ją zaskoczyć.

– Co masz na myśli?

– Mówiłaś, że mnie studiujesz. – Niedbały gest. – Szukasz pęknięć w pancerzu, sposobów na rebranding, cała ta menedżerska matematyka. Ale czy naprawdę się czegoś

dowiedziałaś? – Urwał, a w tym urwaniu było coś, czego w nim jeszcze nie słyszała — cisza bez ironii. – Czy tylko wkułaś filmografię i stwierdziłaś, że wystarczy?

– Wiem, że zacząłeś grać przez swoją matkę. – Głos zmienił się nieznacznie — twardość gdzieś odpłynęła. – Bo to było jej niespełnione marzenie. Ona nie została aktorką, ale jej syn już tak.

Coś przemknęło mu po twarzy. Nie irytacja. Zaskoczenie.

– Ktoś tu naprawdę odrobił lekcje.

Odstawiła kieliszek. Wolniej, niż zamierzała.

– Taka moja praca.

– Większość ludzi nie zadaje sobie trudu, żeby zapytać dlaczego. – Odstawił kieliszek. Palce wystukały krótki rytm o nóżkę szkła i ucichły. – Chcą tylko wiedzieć, ile zarobiłem i z kim spałem.

– Nie jestem większością ludzi.

– Nie. – Przyjrzał jej się uważniej — pierwszy raz tego wieczoru naprawdę patrząc, nie tylko rejestrując. – Zdecydowanie nie. Jesteś spięta, oceniająca i najwyraźniej dalej poraniona przez jakiegoś wokalistę, który złamał ci to małe serduszko. – Uśmiech wrócił, łagodniejszy niż przez ostatnią godzinę. – Ale przynajmniej nie jesteś nudna.

– Cudownie. – Sarkazm na każdym słowie. – Co za wspaniała recenzja. Wstawię sobie na LinkedIn.

– Powinnaś. – Rozsiadł się wygodniej. – Lucy Crowe: Nie nudzi od 2019 roku.

– 2017. – poprawiła odruchowo.

I natychmiast tego pożałowała.

Jego brwi powędrowały powoli w górę.

– A jednak do czegoś dochodzimy. – Satysfakcja rozlała mu się po twarzy. – 2017. To będzie… sześć lat temu? A ty dalej—

– Powiedziałam, zamknij się. – Palce zacisnęły się na widelcu. – Nie będziemy tu przerabiać tragicznych historii z przeszłości, jak w jednej z twoich beznadziejnych komedii.

– Nie wszystkie są beznadziejne.

– *Midnight in Manhattan* było obiektywnie koszmarne.

– Obejrzałaś je? – Autentyczne rozbawienie.

– Research. – wycedziła.

– Oglądałaś moje filmy do researchu. – Uśmiech przeszedł w czystą, grzeszną satysfakcję. – Robiłaś notatki? Oceny mojej gry? Założę się, że tak. Założę się, że masz całą tabelkę w Excelu.

Miała.

Oczywiście, że miała.

I nigdy, przenigdy mu o tym nie powie.



Pub pachniał starym drewnem i drogą whisky — ten typ miejsca, do którego przychodzili ludzie ceniący dyskrecję bardziej niż widoczność. Przygaszone światło, skórzane loże, rozmowy prowadzone pół tonem niżej niż wszędzie indziej. Ariel wsunął się naprzeciwko Oscara, wdzięczny za ciemniejszy kąt i fakt, że większość bywalców była zbyt dobrze wychowana, żeby prosić o autografy. Oparł się o skórzane oparcie, poczuł jak napięcie z ramion odpuszcza o centymetr — jedyne miejsce w mieście, gdzie mógł sobie na to pozwolić.

Oscar skinął barmanowi bez słów. Znajomy zestaw.

– I jak twoja nowa menedżerka? – zapytał, nie odwracając głowy.

– Jest kobietą. – Ariel wypuścił to zdanie tak, jakby samo w sobie coś wyjaśniało.

– Co? – Brwi Oscara uniosły się wysoko. Znał jego historię z kobietami na stanowiskach — a właściwie jej brak. – To pomyłka agencji?

– Zrobili to celowo. – Ton wyważony. – Bo jest ponoć najlepszą agentką, jaką mają, i świetnie radzi sobie z trudnymi klientami.

– Cóż, zdecydowanie jesteś wyzwaniem. – Oscar przyjął dwie szklanki od kelnera i jedną przesunął w jego stronę. Znał go na tyle długo, że szczerość przychodziła łatwiej niż takt. – Pamiętasz tamtego menedżera, którego wywaliłeś za kontrakt na perfumy?

– Ten zapach nazywał się Midnight Temptation. Pachniałby jak szatnia nastolatków.

– Nawet go nie powąchałeś. Wywaliłeś go po samej nazwie.

– Nazwa była wystarczającym dowodem. – Upił łyk.

– Jakbym to ja był problemem. – Ariel obrócił szklankę w dłoniach, obserwując jak bursztynowy płyn łapie światło z baru. – Problemem są kobiety.

– Problemem są kobiety jak Camille. – Oscar spokojnie poprawił, z cierpliwością kogoś, kto prowadził tę rozmowę już kilka razy i nie zamierza się poddać. – A nie każda.

– Szkoda, że większość, które spotykam, jest dokładnie taka. – Gorycz wślizgnęła się w głos, whisky jej nie spłukała.

– Kto wie. – W oczach Oscara pojawił się irytujący błysk optymizmu, którego nie ubiły lata pracy jako terapeuta. – Może trafi się jedna, która będzie inna.

– Chciałbym patrzeć na świat tak jak ty. – Zaśmiał się pusto.

– Dobra. – Oscar odchylił się. – To jak ta twoja nowa menedżerka? Naprawdę.

– Uparta. Śmiertelnie poważna. – Słowa wypadły szybciej, niż planował. – Kompletnie odporna na mnie. Nazwała mnie projektem. – Ostatnie słowo syknął, bo wspomnienie dalej go uwierało, jak kamyk w bucie.

Oscar roześmiał się w swój cichy, głęboki sposób.

– Projektem?

– Trudnym projektem. – Spróbował naśladować amerykański akcent Lucy i jej służbowy ton. Wyszło bardziej karykaturalnie niż przekonująco.

– Nie myli się. – Oscar uniósł szklankę w żartobliwym toaście.

– Po czyjej jesteś stronie? – Spojrzenie bez prawdziwej złości.

– Po stronie prawdy. – Uśmiech szeroki. – Jesteś wyzwaniem, Ariel. To nie opinia, to fakt udokumentowany przez czterech byłych agentów.

– Każde rozstanie miało powód.

– Każde rozstanie miało powód, tak. – Oscar pochylił się, głos spokojniejszy, odległość mniejsza, kontakt wzrokowy bezpośredni. – Ale zauważ, że to zawsze ty inicjowałeś. Zawsze

ty znajdowałeś ten jeden element, który cię ostatecznie odstraszał. Midnight Temptation to tylko jeden z przykładów.

Ariel obrócił szklankę w dłoniach. Nie odpowiedział.

– Więc ta kobieta. – Oscar cofnął się do pierwotnego tematu. – Jest odporna na twój czar?

– Kompletnie. Mógłbym się pewnie podpalić, a ona tylko podałaby mi gaśnicę i kazała przestać dramatyzować.

– Brzmi odświeżająco. – Błysk zainteresowania w oczach. – Kiedy ostatni raz ktoś traktował cię jak człowieka, a nie celebrytę?

– Ty się nie liczysz. – Ariel machnął ręką. – Znasz mnie z czasów, kiedy grałem w teatrze amatorskim i jadłem ramen na śniadanie, obiad i kolację.

– Właśnie. – Oscar wskazał na niego szklanką. – Wszyscy inni widzą króla rom-comów, stałego bywalca okładek. A ona co widzi?

– Projekt. – Słowo dalej go gryzło, inaczej niż na początku — mniej jak obelga, bardziej jak coś, co chciał zrozumieć.

– To się nazywa stawianie granic. – Oscar pochylił się. – Jesteś przyzwyczajony, że ludzie robią wszystko, żeby cię zadowolić. Ona nie gra w tę grę.

– Nie chcę, żeby grała. – Ariel obrócił szklankę w dłoniach, śledząc jak bursztynowy płyn łapie i puszcza światło. – Chcę tylko, żeby była… nie wiem. Normalna.

– Normalna, czyli jaka?

– Oglądała moje filmy. – Nie udało mu się całkiem wyprzeć satysfakcji z głosu. – Do researchu. Podejrzewam tabelki, analizy, całą tę menedżerską matematykę.

Uśmiech Oscara stał się znaczący.

– Podoba ci się, że zwraca na ciebie uwagę.

– Podoba mi się, że jest dokładna. – Za szybko. – Profesjonalna.

– Jasne. Profesjonalna. – Oscar przeciągnął słowo. – Na pewno nie chodzi o to, że jest odporna na twój czar?

– Nie bądź śmieszny.

– Zawsze chcesz tego, czego nie możesz mieć. – Stwierdzenie z ciężarem lat znajomości. – To twój znak rozpoznawczy.

– Chcę tylko, żeby dobrze wykonywała swoją pracę.

– Na razie wygląda na to, że wykonuje. – Oscar dopił whisky. – Więc w czym naprawdę problem?

Ariel otworzył usta.

Zamknął je.

Co właściwie było problemem?

– Nienawidzi mnie. – stwierdził w końcu.

– I bardzo dobrze. – Uśmiech Oscara poszerzył się. – Przynajmniej tym razem będziesz się musiał trochę wysilić.